

Sławomir Hanak

wyróżnienie w konkursie literackim „Racibórz prozą zaczarowany”

RACIBÓRZ... DZIECIĘCY

Każdy, kto kiedykolwiek był dzieckiem (czyli dosłownie **każdy**) wie, że z dziecięcej perspektywy świat wygląda zupełnie inaczej. Świat, czyli również Racibórz. To co dla nas jest nudne, dla dziecka bywa arcyciekawe, to co dla nas szare, brzydkie, dla dzieciaka może być bajecznie kolorowe. Jest to prawidłowość występująca niezależnie od czasu i miejsca.

Dla zobrazowania tego zjawiska przytoczę kilka dziecięcych opowieści dziejących się w Raciborzu, na przestrzeni kilkudziesięciu lat...



Waldek, lat 11.

Czwartek . 4 październik 1954r.

GIZDOKI

Najlepsza zabawa jest w ruinach. Jakich? Różnych, bo wiadomo, że jeszcze trochę tego w Raciborzu jest. Nie za wiele, ale jednak. Józek, starszy brat Romka, mówi, że kiedyś to tutaj prawie wszystko było zrujnowane, ale dużo gruzów uprzątnięto i nawet różne nowe domy są pobudowane.

Najwspanialsze ruiny w mieście są po synagodze przy Szewskiej. Ona nawet nie jest tak całkiem zrujnowana, ale jest tak wysoka, że aż strach wejść, bo może coś na głowę spaść. To znaczy, ktoś inny by się bał, ale nie my. Niestety, synagoga odpada, bo na Szewskiej, dokładnie naprzeciwko ruin mieszka Romek, ja z kolei mieszkam, na Zborowej, Wicek na Nowej, a Hajnik w Rynku. Właściwie, to on ma na imię Heniek, ale skoro rodzice mówią na niego Hajnik, to i my możemy, no nie?

Ktoś by powiedział: klawo, macie przecież do synagogi blisko! No właśnie... to jednak za blisko! Gdyby zobaczył nas tam ktokolwiek z sąsiadów, albo innych znajomych i doniósł rodzicom... oj, trudno byłoby nam potem normalnie siedzieć. Raczej nikt by się z nimi nie cackał, ale to w końcu normalne.

Do niedawna bawiliśmy się w ruinach kościoła ewangelickiego. Oczywiście wiemy, że i tam nie wolno wchodzić, ale skoro tego nikt nie pilnuje... Podobno ten kościół miał kiedyś dwie wieże. Teraz już ich nie ma, ale i tak jest fajnie. To znaczy, było fajnie, bo odkąd Józek (to ten starszy brat Romka) zaczął chodzić do średniej szkoły po drugiej stronie ulicy, to zapowiedział, że będzie sprawdzał, czy nas czasem nie ma w ruinach. W ogóle z tą szkołą Józka jest dziwna sprawa. Wszyscy wiedzą, że to jest Technikum Mechaniczne, ale wielu mówi Gimnazjum Cukrownicze, na budynku jest tabliczka, że jednak technikum, więc my już ni nic nie wiemy.

W związku ze wspomnianymi trudnościami, musieliśmy sobie wyszukać coś innego. I udało się! Znaleźliśmy nowe ruiny. To znaczy one są już od wojny, ale dla nas są „nowe”. Nawet blisko, ale nikt nas tam nie wypatrzy. Nie zgadlibyście, to... dworzec kolejowy! Ktoś powie, że to przecież nie ruiny, bo dworzec stoi. Ha, niby tak, ale to tylko jest część starego dworca. Piotrek, którego tata jest urzędnikiem w Magistracie, przyniósł kiedyś do szkoły pokazać przedwojenną widokówkę z dworcem w Raciborzu. Aż się nie chce wierzyć, jaki był ogromny! To, co jest teraz, to była tylko jego niewielka, lewa część.

Chodzimy do szkoły na Solnej. Nasza pani kiedyś nam powiedziała, że Racibórz był naprawdę pięknym miastem, ale Niemcy go zniszczyli jak stąd uciekali i dobrze, że w porę przyszli Rosjanie, to przynajmniej coś ocalało. Chciałem o tym porozmawiać z rodzicami, ale mama powiedziała, że ona się do niczego nie miesza, a tata krzyknął, żebym się nie garbił, tylko odrabiał lekcje. Dziwne.

A wracając do dworca, to jego zrujnowana część jest odgradzona murem od placu dworcowego, ale my i tak umiemy tam wejść od strony wiaduktu po prawej stronie. Dla kogoś takiego jak my, jest to prawdziwy raj. Są tam pozarastane krzakami doły, całe górki pokruszonych cegieł i fragmenty ścian, niektóre nawet z futrynami drzwi. Możemy tam się bawić w co tylko chcemy. Czasem przychodzą tam trochę starsi chłopcy, żeby palić papierosy, ale nie przeganiają nas.

Dzisiaj mieliśmy tylko trzy lekcje, więc oczywiście poszliśmy prosto do ruin. W ścianie ocalałej części dworca odkryliśmy wykutą dziurę, więc nie było siły, musieliśmy tam wejść. Problem miał tylko Wicek, bo jest gruby, ale jakoś go przecisnęliśmy. W środku było strasznie ciemno, ale Romek miał świeczkę, bo on zawsze nosi przy sobie różne dziwne rzeczy, więc mogliśmy sobie poświecić. Najpierw szliśmy jakimś korytarzem, mijając po prawej dwoje zamkniętych drzwi, a potem skręciliśmy w lewo i zobaczyliśmy wpadające przez poziomą szparę dzienne światło.

Podeszliśmy bliżej i ujrzeliśmy budynek poczty i początek ulicy Mickiewicza. Okazało się, że jesteśmy pod schodami do hali dworcowej. Wchodzili i schodzili nimi różni ludzie, ale nikt nas nie widział. W pewnym momencie zobaczyliśmy zbliżającą się starszą, po wiejsku ubraną kobietę, taszczącą spory koszyk i jakiś tobił. Pewnie wracała z targu. Po pokonaniu kilku stopni zatrzymała się by odpocząć, dokładnie przed „naszą” szparą.

Nie wiem, co Wicka podkusiło, ale nagle wysunął przez szczelinę jakiś patyk i szturchnął nim w stojący koszyk, a do tego jeszcze... zaszczekał!

- Moje śliwki, moje gruszki! – krzyknęła zaskoczona kobieta, łapiąc za uchwyt kosza.

Potem nachyliła się do szpary.

- Pierońskie gizdoki! – zawołała z oburzeniem.

Oczywiście zaraz stamtąd uciekliśmy. Kiedy już wyszliśmy na zewnątrz, zaczęliśmy się pokładać ze śmiechu. W końcu się nieco uspokoiiliśmy, a wtedy Wicek zapytał:

- Słuchajcie, a co właściwie są te „gizdoki”, czy to też jakieś owoce?

.....

Urszulka, lat 6 i pół.

Sobota. 16 luty 1963 r.

SUKIENKA ZUZI

Już dawno chciałam, żeby mama uszyła nową sukienkę dla mojej Zuzi. To moja ulubiona laleczka, jest taka malutka, słodziutka...

- Jesteś już dużą dziewczynką – powiedziała mama, podnosząc głowę znad maszyny do szycia. – Spróbuj coś sama wymyślić. Jest przecież całe pudło kolorowych gałganków, na pewno wybierzesz coś ładnego. Potem razem usiądziemy i zrobimy piękną sukieneczkę. Pomogę ci wyciąć, a potem zeszyję...

- Dzisiaj? – zapytałam z nadzieją w głosie.

- Dzisiaj to raczej już nie – mama pokręciła głową. – Mam jeszcze trochę szycia dla pani Hampel, a potem idziemy z tatą na ten bal zakładowy – spojrzała na zegar. – A taty ciągle nie ma.

Moja mamusia jest krawcową, a tatuś pracuje w więzieniu. Nie, nie zrobił nic złego, ani też nie jest strażnikiem, tylko coś tam robi w biurze. Obok więzienia jest taka wielka świetlica. Z prawdziwą sceną. Do nas, dzieci pracowników, co roku przychodzi tam Mikołaj, ale każą nam na niego mówić Dziadek Mróz. Ciekawe dlaczego? Nieważne, grunt, że dostaje się od niego wielką paczkę ze słodyczami i prawdziwą pomarańczą... nie bujam, naprawdę! Trzeba tylko powiedzieć wierszyk, albo coś zaśpiewać. Phi, łatwizna. Mogłabym śpiewać bez końca, ale ten Dziadek Mróz powiedział, że i tak więcej paczek nie dostanę (skąpiradło, miał przecież cały worek), więc zesłałam z tej sceny.

Właśnie do tej świetlicy rodzice idą dzisiaj na bal. Ja zostaję w domu, ale się nie boję, bo nie będę całkiem sama. Przyjdzie do mnie pani Hampel z pierwszego piętra, dlatego mama dla niej teraz coś szyje.

Mama jest trochę zdenerwowana, bo tata ma jeszcze jakieś zebranie i nie wiadomo, czy zdążą. Dlatego wolę się mamie nie plątać pod nogami. Myślę, że skoro naprawdę jestem duża i mądra (pani w przedszkolu mówi, że jestem nie tylko mądra, ale nawet mądrą... to chyba dobrze, no nie?), to chyba rzeczywiście sama coś dla Zuzi przygotuję.

Wyciągnęłam z szafy to wielkie pudło ze ścinkami. Och, ile tego! Niektóre są takie mięciutkie, delikatne, a inne sztywne szeleszczące. Przekopałam wszystko, ale wzory mi się nie podobały, więc zajrzałam do szafy, czy jeszcze coś tam nie zostało i... znalazłam! Taką śliczną długą wstęgę w prążki. Jak się temu przyjrzałam, to stwierdziłam, że tego nawet nie trzeba będzie szyć, bo to była taka jakby rurka. Wystarczy obciąć u góry i na dole, a potem po bokach naciąć otworki na ręce i sukienka dla Zuzi gotowa! Muszę się pochwalić...

- Mamo...!

- Naprawdę córeczko, nie teraz – mama, zajęta szyciem, nawet nie spojrzała. – Jutro mi pokażesz, dobrze?

Nie byłam tym zachwycona, ale trudno, wytrzymam. Ale co to? Ocho, tatuś wrócił! Może jemu się pochwalę...

- Cześć moje kobietki. Czy mój garnitur przyszykowany? – zawołał tata już od progu. – Muszę jeszcze wziąć szybki prysznic...

Hm, nie wydaje mi się, żeby tata miał ochotę oglądać sukienkę Zuzi.

W domu zapanowało istne szaleństwo. Tata się kąpał, mama się stroiła, potem tata się ubierał, a mama się czesała (wiem, że to się nazywa tapirowanie), potem tata szalał, bo nie mógł znaleźć nowego krawata, a mama szalała, bo... tata szalał. Tymczasem przyszła pani Hampel, a rodzicom jakoś udało się wyszykować. Leżałam już w łóżku, kiedy mieli wyjść. Oczywiście przyszli mnie pocałować na dobranoc. Uwielbiam, kiedy moja mamusia jest taka wystrojona i tak pięknie pachnie, a tatuś jest taki elegancki jak jakiś aktor. Wiem jak wyglądają aktorzy, bo mamy telewizor, pierwsi w klatce!

Nie mogłam się powstrzymać i wyjęłam spod kołdry Zuzię, żeby im pomachała na dobranoc... rodzice aż otworzyli buzie ze zdziwienia na widok jej ślicznej sukienki.

- Jezus Maria – wyszeptał tata. – Mój nowy krawat...

Staszek, lat 10.

Piątek. 13 wrzesień 1969 r.

RACIBÓRZ I... GWIADZY

Dzisiejszy dzień będę pamiętał do końca życia.

W zeszłym miesiącu w Domu Kultury na Chopina występowała Grupa ABC. Moja siostra, która jest stara (ma już trzynaście lat), tak długo jęczała, aż rodzice pozwolili jej na ten koncert iść. Już od rana ją nosiło. Z domu wyszła już na dwie godziny przed rozpoczęciem, bo postanowiła z tyłu czekać na przybycie zespołu. Okazało się, że nie ona jedna wpadła na ten pomysł, bo podobno zgromadził się tam spory tłumek fanów.

Z koncertu wróciła jakby nieobecna duchem, nic do niej nie docierało. Usiadła na półce przy garderobie, zdjęła jeden sandał (prawy) i w milczeniu się w niego wpatrywała. Razem z rodzicami przyglądaliśmy się jej, czekając co z tego wyniknie. W końcu tata nie wytrzymał.

- Co jest z tym sandałem? – zapytał. – Wlazłaś w coś?

- Ech – siostra westchnęła, po czym nastąpiła długa przerwa. – Nigdy nie zgadniecie. Stałam w tym tłumie, kiedy ONI przechodzili... ktoś mnie z tyłu popchnął... wpadłam prosto na NICH... i wtedy na ten sandał przypadkiem nadepnęła mi sama... Halina Frąckowiak! Oso-biście!!!

Od tego czasu nie można było z nią wytrzymać. Chyba nawet nasze „Bambino”, miało dość w kółko puszczonej pocztówki „Napisz proszę”, bo się popsuło. Potem było jeszcze gorzej, bo siostra zaczęła sama śpiewać.

Uważałem, że to niesprawiedliwe, że ona była, a ja nie, więc kiedy niedawno gruchnęła w mieście wieść, że na Dni Raciborza ma przyjechać Czesław Niemen, powiedziałem, że teraz moja kolej, i że chcę iść. Prawdę mówiąc, za bardzo nie przepadam za taką muzyką, ale się uparłem. Bo co, w końcu sprawiedliwość musi być!

Tata nawet nie chciał o tym słyszeć, bo on Niemena nie cierpi i zawsze mówi, że to nie jest żaden śpiew, tylko dziki wrzask. No, ale tata się nie zna na tym co jest modne, bo on uznaje tylko Bernarda Ładysza. Na rodzinnych imprezach, czasem udaje się go podpuścić i wtedy śpiewa „Ten zegar stary...”. Potem my siostrą go przedrzeźniamy i wszyscy się śmieją.

Tym razem tata stanął na wysokości zadania, bo jednak załatwił mi ten bilet! Od tygodnia mogłem w szkole zadzierać nosa, bo nikt inny z mojej klasy nie miał biletu, a i ze starszych

klas też mało kto. Miałem być pod opieką Antka z drugiej klatki, bo on już chodzi do „mechanika” i miał mnie pilnować, żeby mnie nie zdeptali.

Koncert miał się odbyć wieczorem w amfiteatrze „Strzechy”, ale już wczesnym popołudniem ludzie i samochody ciągnęły w stronę Starej Wsi. Czegoś takiego chyba jeszcze w tym mieście nie widziano, nawet na 1-go Maja nie ma takich tłumów. Razem z nami szło dwóch kumpli z mojej klasy. Oni oczywiście nie mieli biletów, ale powiedzieli, że będą słuchać za płotem. Chętnie postąpiłbym tam z nimi, ale przecież nie mogę się do tego przyznać.

Prawdziwy szok przeżyliśmy na placu Wolności, na skrzyżowaniu ruchem kierował... milicjant! No owszem, w szkole o czymś takim nam mówili, w telewizji też czasem widzieliśmy, ale żeby tu, w Raciborzu? Staaliśmy obok księgarni muzycznej na rogu i nie mogliśmy od tego milicjanta oderwać wzroku. W końcu, po chyba piętnastu minutach, Antek (to ten starszy sąsiad) powiedział, że musimy iść, bo nie będzie gdzie usiąść, więc z żalem poszliśmy dalej.

I tak nie było gdzie siedzieć. Ludzie byli dosłownie wszędzie: wisieli na płocie, siedzieli na pobliskich topolach, a najwięcej ludzi, to stało na zewnątrz, na ulicy Londzina. Nareszcie koncert się zaczął. Najpierw grał jakiś zespół „Flamingo” z Czechosłowacji, a po denerwującej przerwie wystąpił ON! Nie wiem, czy głośniejszy był występ, czy piski zgromadzonych dziewczyn.

Ech... cóż to był za dzień! Teraz leżę już w łóżku, w głowie mam ciągły szum od głośnej muzyki, a przed oczyma najbardziej niesamowite wydarzenie dzisiejszego dnia... widok kierującego ruchem milicjanta.

.....

Mirek, lat 12.

Czwartek. 25 maj 1972r.

PIĘĆ MINUT SŁAWY

Jesteśmy sławni! Ale od początku...

Jeżeli tylko dopisuje pogoda, to po lekcjach chodzimy na Orła. Orzeł... tak my go sobie nazwaliśmy, chociaż tak naprawdę, to tylko pół orła, a mówiąc jeszcze dokładniej, to wielki herb Raciborza, przedstawiający pół orła i pół koła. Postawiony jest przy ulicy Pivnej, obok placu Długosza. Czasami wystarczy nawet „okienko” w lekcjach, a zaraz tu pędzimy.

Herb jest umocowany do naprawdę dużej konstrukcji z rur, niewiele niższej niż stojący obok czteropiętrowy blok. Trudno oprzeć się wrażeniu, że postawiono to specjalnie dla naszej paczki, bo trudno o lepsze miejsce zabaw. Wspinamy się po tym jak małpy.

Najlepsza jest gonitwa. Podstawowy warunek, to nie wolno dotknąć ziemi, kto dotknie, ten goni. Na samą górę jeszcze nikt nie wszedł, ale i tak my z Benkiem jesteśmy najlepsi, bo doszliśmy niemal do samej głowy orła. Ponieważ nikt nie mógł nas dosięgnąć, więc dobrowolnie ograniczyliśmy „pole gry” do osi tej połówki koła i w ten sposób szanse się nieco wyrównały. Ech, czego się nie robi dla kumpli.

Podczas, kiedy w czterech, lub pięciu skaczemy po tym żelaznym rusztowaniu, naszych szkolnych toreb pilnuje Michał. On jest trochę miśkowaty, więc się nie lubi wspinać... jego strata. Mówi, że nie ma zamiaru się zabić, ale jak my chcemy, to proszę bardzo, będziemy

mieli obsługę na miejscu. To z jego strony taki ponury żart, bo z tyłu za „orłem” jest taka stara kamienica, w której na parterze znajduje się... zakład pogrzebowy.

Żaden z nas raczej w domu się nie chwali tymi naszymi wspinaczkami, bo mogłoby to być niewłaściwie odebrane. Kiedyś przechodziłem tędy z rodzicami i akurat łąziło po herbie jakichś trzech obcych chłopaków. Swoją drogą, kto im pozwolił? To przecież NASZ Orzeł! Mój tata się wtedy strasznie zdenerwował i powiedział, że takim nieodpowiedzialnym smarkaczom to by najchętniej nogi powyrywał z... odpowiedniego miejsca. Mam podstawy przypuszczać nie on jedyny ma takie nastawienie do naszych niewinnych rozrywek, bo czasem jakiś przechodzący dorosły na nas też krzyczy, że spadniemy, że to nie plac zabaw, że milicję zawoła... no, ale ten krzyczący ktoś jest zawsze na dole, a my na górze, więc przejmujemy się tym tak raczej... średnio.

To chyba oczywiste, że to nie jest nasze jedyne miejsce do wpinania. Jeszcze lepszy jest Mount Everest. Tak właśnie nazwaliśmy stromą betonową ścianę przylegającą do mostu na Odrze, po lewej, od strony Ostroga. Można się na nią wspiąć po zwisającej długiej gałęzi, albo po takich wystających z betonu żelaznych szynach. Ten ostatni sposób jest oczywiście najtrudniejszy i tylko my dwaj z Benkiem to umiemy. Niestety, Mount Everest jest jednak trochę daleko, więc na co dzień musi nam wystarczyć Orzeł.

Do szkoły chodzimy razem z Benkiem, bo mieszkamy na sąsiednich podwórkach. Dziś czekało nas spore zaskoczenie. Marek, który zawsze się do szkoły spóźnia, bo ma najbliżej, czekał już na nas przed wejściem, wymachując jakąś gazetą.

- Chłopaki, jesteście sławni! – wołał już daleka. – Piszą o nas w gazecie!

Nie bardzo wiedzieliśmy o co chodzi. W myślach zrobiliśmy szybki rachunek sumienia. Ja, co prawda, startowałem w międzyszkolnych zawodach pływackich, ale po pierwsze: niczego nie wygrałem, a po drugie: to było w zeszłym miesiącu. Benek wygrał szkolny konkurs rysunkowy „Stop, dziecko na drodze!”, ale żeby od razu w gazecie...? Poza tym Marek wyraźnie powiedział, że piszą o „nas”, a on raczej niczym się nie wstawił.

Tymczasem nasz kolega rozłożył gazetę (były to „Nowiny”) i podetknął nam pod nos niewielki artykuł na drugiej stronie. Przeczytaliśmy, i spojrzeliśmy na siebie nie kryjąc satysfakcji. No bo co, ostatecznie niewielu naszych rówieśników miało w gazecie swoje „pięć minut”!

Artykuł brzmiał następująco:

„Wielki, piastowski herb, pomyślany jako ozdoba naszego miasta, od dłuższego czasu jest ustawicznie dewastowany przez grupkę uczniów Szkoły Podstawowej nr. 13, którzy uczynili sobie z niego miejsce swych niebezpiecznych zabaw. Mamy nadzieję, że odpowiedzialne czynniki zainteresują się tym problemem. Póki co, możemy tylko zapytać: Gdzie są rodzice? Gdzie jest szkoła? (WS.)”

.....

Rysiek, lat 9.

Piątek. 29 wrzesień 1978 r.

ŁÓŻKO ZA MILION

Przedwczoraj wycięli mi wyrostek. Taka operacja to nie byle co. Teraz leżę w szpitalu i się nudzę. Boli, ale tylko trochę. Wczoraj, to dopiero był ból, a wytrzymałem. No co, w końcu jestem facetem, no nie? To nic, że dopiero w trzeciej klasie. Facet, to facet... i już!

Jak wrócę do szkoły (podobno za niecałe dwa tygodnie) to opowiem chłopakom jak wygląda taka operacja, tylko... nie za bardzo wiem, co mówić, bo niewiele pamiętam. Najpierw bardzo bolał mnie brzuch, więc po południu mama zaprowadziła mnie do lekarza, bo tata akurat był na delegacji. Pani doktor mnie podotykała, a jak nacisnęła mój brzuch, to aż krzyknąłem (ale tylko trochę, naprawdę troszeczkę). Potem powiedziała, że nie ma na co czekać i zadzwoniła po karetkę. To była jazda... chłopaki pękną z zazdrości!

Znalazłem się na takiej wielkiej sali z mnóstwem lamp, położyli mi coś na nosie i... obudziłem się tu, gdzie teraz jestem. Całe wczorajsze popołudnie siedziała przy mnie mama i ciągle płakała. Pewnie też ją coś bolało, ale nie wiem co, bo nie chciała się przyznać.

Dziś rano, taki jeden doktor, trochę podobny do Janosika z telewizji, tylko niższy i z krótszymi włosami, powiedział, że mogę już próbować wstać. Jedna pielęgniarka pomogła mi podejść do okna, żeby popatrzeć na park i... zobaczyłem moja klasę! Nic dziwnego, pogoda jest piękna, więc poszli z panią na spacer. Mieli blisko, bo moja szkoła to „13” na Staszica, a park i szpital są na Bema. Trochę im zazdroszczę.

Ledwie wróciłem do łóżka, na salę wszedł jakiś uśmiechnięty lekarz, ale nie ten Janosik, a za nim... tata!!! Wrócił z delegacji nad ranem. Trochę się zdrzemnął i zaraz tu przyszedł. Zdziwiłem się, bo odwiedziny są dopiero po południu, ale okazało się, że tata i ten uśmiechnięty doktor chodzili razem do szkoły, więc go wpuścili. A w ogóle, to ten pan był przy mojej operacji. On jest takim anesti... aniste... no, tym od usypiania. Trochę się zdziwiłem jak tata wymienił to słowo na „a”, bo dotąd myślałem, że ten od usypiania nazywa się hipnotyzer, ale może coś źle usłyszałem.

Kiedy już tata dowiedział się jaki jestem dzielny, zaczął sobie z tym doktorem gawędzić. Rozejrzał się i powiedział, że ten cały szpital już woła o remont. Woła? Ja tam nic nie słyszałem, może akurat wtedy byłem uśpiony? Wtedy ten lekarz powiedział, że nie warto remontować, bo właśnie rozpoczęła się budowa nowego szpitala. Będzie miał dużo pięter, i w ogóle, będzie bardzo nowoczesny, tylko że trochę to potrwa, bo taki szpital bardzo dużo kosztuje. Usłyszałem, że ma tam być około sześćset łóżek, a jedno kosztuje prawie milion złotych. Myślałem, że się przesłyszałem, ale on naprawdę tak powiedział.

Kiedy już sobie porozmawiali, tata powiedział, że jest ze mnie bardzo dumny i poszedł. A ja teraz leżę, myślę nad tym co dziś usłyszałem i jestem trochę skołowany. No bo tak: kilka tygodni temu rodzice kupowali mojej starszej siostrze łóżko. Dotąd spała na rozkładanym fotelu, ale urosła i już jej nogi wystawały. Byliśmy w sklepie meblowym wszyscy razem i to jej łóżko kosztowało 1200 zł. Pamiętam dobrze, bo rodzice długo dyskutowali, jakie to jest drogie.

Dziś dowiedziałem się, że jedno szpitalne łóżko to milion? Przyjrzałem się dokładnie temu, na którym leżę. No owszem, są tu kółka i podnoszony zagłówek, ale mówiąc szczerze, to od mojej siostry jest ładniejsze. Może w tym nowym szpitalu będą takie ze złota?

Nie ma innej rady. Postanowiłem, że jak już ten nowy szpital będzie wybudowany, to będę musiał się znów rozchorować, żeby na własne oczy zobaczyć jak wygląda takie łóżko za milion.

.....

Kamila, lat 13.

Wtorek, 2 wrzesień 1997 r.

GLUPEK

Mateusz jest głupi...

Nawet brak mi słów, żeby to opisać. Uczy się dobrze, w porywach nawet bardzo dobrze. Nauczyciele mówią o nim, że jest inteligentny, ale co z tego, skoro jednocześnie jest tak zwyczajnie, po ludzku, głupi. Dziś, już w pierwszy dzień po rozpoczęciu roku szkolnego, udowodnił to po raz kolejny.

W lipcu przeżyliśmy tutaj wielką powódź. Dotąd myślałam, że powódź to coś takiego jak tajfun, albo wojna – strasznie wygląda w telewizji, ale na szczęście, nas to absolutnie nie dotyczy. Bardzo się myliłam.

Z rodzicami i siostrą mieszkam na Słowackiego, ale moi dziadkowie na Rudzkiej, w dodatku na parterze. Kiedy dowiedzieliśmy się, że woda już zalewa Ostróg, byliśmy przerażeni, bo dziadkowie nie mają telefonu, a nawet gdyby mieli, to podobno i tak nie działały. Przez cały dzień nie wiedzieliśmy, co się tam dzieje. W końcu tata dowiedział się od kogoś stamtąd, że mieszkanie dziadków jest zalane, ale oni sami są bezpieczni u mieszkających nad nimi sąsiadów i trochę rzeczy też udało im się wynieść. Dopiero po usłyszeniu tych wieści kamień spadł nam z serca.

W mojej szkole, zorganizowano główny punkt pomocy dla powodziarzy. Rozdawano żywność, odzież, a nawet meble.

Kiedy woda wreszcie zeszała, mogliśmy pójść na Ostróg. Znaczna część miasta przedstawiała straszny widok. Wszędzie błoto, błoto i jeszcze raz błoto. Przed domami piętrzyły się sterty sprzętów, ubrań i mebli. Pod kamienicą dziadków nie było inaczej. Babcia zdruzgotana, siedziała na jakimś krześle, ale na szczęście dziadek jakoś się trzymał. Razem z tatą natychmiast wzięli się to pracy.

Przez trzy tygodnie dziadkowie mieszkali u nas, zanim tata z wujkiem nie doprowadzili ich mieszkania do porządku. Było nam bardzo ciasno, ale dzięki temu znów zbliżyłam się z dziadkami. Jak byłam malutka, to codziennie dziadek, lub babcia zabierali mnie do siebie, a trwało to dopóki nie poszłam do przedszkola. Potem oczywiście dość często ich odwiedzałam, ale tej bliskości już w tym nie było, aż dopiero teraz... można powiedzieć, że jednak była jakaś korzyść z tej tragedii.

Wczoraj, na rozpoczęciu roku szkolnego, to właśnie powódź była oczywiście głównym tematem rozmów. Dzisiaj na pierwszej normalnej lekcji, każde opowiedziało jak spędziło wakacje i gdzie było podczas tego pamiętnego dla Raciborza, lipca. Kiedy przyszła kolej na Ma-

teusza, powiedział że on powodzi nie widział, bo jeszcze pod koniec czerwca wyjechał z rodzicami do jakiegoś Bibione (to chyba jest we Włoszech), a potem aż do końca wakacji był u jakiejś rodziny, aż pod Poznaniem.

- A tak w ogóle, to ja mam strasznego pecha – podsumował swoją wypowiedź. – Tu się nigdy nic nie dzieje, a jak w końcu raz trafi się jakaś atrakcja, to mnie tu nie ma. To niesprawiedliwe!

To nie pomyłka... On naprawdę powiedział: „atrakcja”!

Mówiłam przecież, że to głupek.

Madzia, lat 8.

Niedziela. 2 październik 2005 r.

NIEZAPOMNIANY DZIEŃ

Tata zapowiedział, że długo będę pamiętała ten dzień. Na tę niedzielę zapowiedział dla nas Prawdziwą Pieszą Wycieczkę! Mówiąc „dla nas”, mam na myśli tylko jego i mnie, bo mama nie chciała mieć z tym nic wspólnego.

Zaczęło się od tego, że wszyscy troje mieliśmy dziś jechać do Obory, żeby sobie pospacerować po lesie. Już wczoraj tata zaczął opowiadać, że jak on był w moim wieku, to do Obory chodził ze swoim tatą piechotą. Ja też tak chciałam, ale tata twierdził, że ni dałabym rady, bo teraz dzieci są wygodnickie i nie mają kondycji. Więc się popłakałam, że to nieprawda i tak od słowa do słowa, stanęło na tym, że jednak wyruszymy piechotą okrężną trasą: Racibórz-centrum, Obora, Markowice, Racibórz-centrum.

Mama powiedziała, że tata zawsze ma jakieś głupie pomysły, ona mu nie pozwoli zameczyć dziecka (czyli mnie). No to ja się znów rozplakałam, że ja chcę iść, i że chcę dbać o kondycję. Wtedy mama złapała się za głowę, stwierdziła, że niedaleko pada jabłko od jabłoni, i że oboje z tatą jesteśmy siebie warci, i że możemy robić co chcemy, ona się nie wtrąca.

Tak byłam przejęta tą wycieczką, że dzisiaj wstałam już o siódmej i obudziłam tatę. Był trochę zdziwiony, spojrział na zegar i powiedział, że mam wracać do łóżka, bo mamy jeszcze czas. To samo powiedział o 7:20, o 7:45 i o 8:05. W końcu wstał o 8:25.

Po śniadaniu mama spakowała nam prowiant i powiedziała, że jak już będziemy mieli dosyć, to mamy zadzwonić, dokąd ma po nas podjechać autem.

- Ha, ha, ha – odparł tata. – Ale to śmieszne. Niedoczekanie.

- Ha, ha, ha – nie chciałam być od niego gorsza. – Właśnie. Niedoczekanie.

Wyruszyliśmy wyposażeni w plecaki i bojowe nastroje. Tata dodatkowo był zadowolony, bo miał nowe buty. Pierwszy raz chciało mi się pić na moście, a potem obok „Plusa” na Bosackiej. Moje picie skończyło się już na moście na kanale Ulga.

- I co, nie „spuchłaś” jeszcze? – zapytał tata.

Tylko wzruszyłam ramionami i widziałam, że tata był ze mnie bardzo dumny.

Weszliśmy do lasu. Przy restauracji zrobiliśmy sobie dłuższy postój, bo tacie zrobił się pęcherz od tych nowych butów. Ucieszyłam się, bo mnie już też nogi bolały, ale wolałam nic

nie mówić. Kiedy szliśmy w stronę mini-zoo tata pokazał mi miejsce gdzie kiedyś był tor saneczkowy, i że kiedyś, to on tutaj na sankach ho, ho, ho... Nie umiałam tego sobie wyobrazić. Po mini-zoo pokazał mi taką małą górkę i wyjaśnił, że to była... skocznia narciarska! Hm, w niczym nie przypominało to tego, co oglądałam w telewizji, jak skakał Małysz, ale skoro tata tak mówi...

Tata chwalił się, że kiedyś z kolegami, spod progu tej skoczni zjechali na rowerach i jak mi dokładnie pokazywał miejsce, z którego zjeżdżali, to się poślizgnął i trochę pokulał się na dół. To, że był cały oblepiony liśćmi, to nic, gorzej, że coś sobie zrobił w nogę, ale umiał iść dalej.

Na dużej polanie urządziliśmy sobie prawdziwy piknik. Ja jadłam kanapki i owoce, a tata zdjął buty i masował sobie obie nogi (na jednej miał spuchniętą kostkę, a na drugiej pęknięty pęcherz).

Kiedy wyszliśmy z lasu, było już widać pierwsze domy w Markowicach. Ja byłam nieźle wypoczęta, ale tata tak dziwnie szedł, jakby na palcach i przy niemal każdym kroku syczał. Było mi go naprawdę żal. W końcu dotarliśmy do przejazdu kolejowego.

- Tato, daleko jeszcze? – zapytałam.
- Nie – wysapał tata. – Najwyżej jakieś pięć kilometrów – umilkł i powtórzył znacznie ciszej – Pięć kilometrów...
- To może jednak zadzwonimy po mamę – zaproponowałam.
- Chyba żartujesz – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Nigdy!

Tata jednak miał rację. Nigdy nie zapomnę tego dnia. W końcu pierwszy raz w życiu jechałam pociągiem. Z Markowic do Raciborza.

.....

I to już wszystko. Jestem przekonany, że takich historyjek zbierałoby się znacznie więcej, gdyby tylko bardziej poszukać, popytać... Każde z nas przeżyło coś wartego przypomnienia. Ja również dzięki tej pisaninie odbyłem swoją własną „podróż sentymentalną”.

Dodam tylko, że wszystkie przytoczone opowieści, są autentyczne. Pozwoliłem sobie pozmieniać imiona bohaterów, bo może niektórzy rozpoznaliby siebie, a dziś by woleli, żeby nie kojarzono ich z takimi wybrykami. A że czasem, dla podkreślenia dramatyzmu, lub spuentowania, dodałem jakieś jedno, lub dwa zdania...